



Jan Plebanek

Sygnatura notacji: **N0479**

Data urodzenia: **28.08.1931 r.**

Data nagrania: **20.06.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Międzyrzecz, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Grzegorz Łuszczynski**

Czas nagrania: **70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jan Plebanek: Nazywam się Jan Plebanek, urodzony jestem w miejscowości kuracyjnej Ciechocinek koło Torunia. Bo do Torunia myśmy mieli 19 kilometrów. Czas mojej obecności kształtował się przed wojną, że skończyłem pierwszą klasę. Zaczęłem uczęszczać do drugiej klasy jak wojna wybuchła [19]39 roku. Oczywiście przed tym jeszcze nim poszedłem do szkoły, chodziłem do ochronki, ochronkę piastowali zakonnice. Dużo nas tam w tej ochronce było. Dzieci jako urodzeni. I tak może zacznę w skróceniu. Czas okupacji całej, czyli od 1939 do 1945 roku przebywałem pod opieką rodziców, aby się po prostu nie upodobnić... brak zainteresowania. Jako dziecko bawiliśmy się dzieci sąsiadów w piasku, robiliśmy babki różne takie po prostu, tak jak dzieci wszystkich narodów świata, bo tak jest wszędzie to samo. Po wyzwoleniu to już jeśli przyszło wyzwolenie w 1945 roku i jeszcze od razu powstała Szkoła Podstawowa w Ciechocinku, do której uczęszczałem kończąc niedokończoną drugą klasę. Jak skończyłem drugą klasę, ojciec w międzyczasie już wyjechał jako pionier, jak to mówią teraz, pionier zachodu, robili te tory, poprawiali, bo Niemcy zerwali wszystkie tory do Międzyrzecza, a jedynie tylko został tor udostępniony przez Skwierzynę na Gorzów tutaj. A ojciec był jako ślusarz mechanik.

Grzegorz Łuszczynski: A jak miał na imię pana tata?

Jan Plebanek: Słucham.

Grzegorz Łuszczynski: Jak miał na imię pana tata? Tak jak. Jakie imię miał? Tak, ojciec.

Jan Plebanek: Ojciec Tadeusz Tadeusz Plebanek. Tak że myśmy się po prostu, no, z ojcem tak zmówili, że weźmie nas, przewiezie tu na Ziemię Odzyskaną, jak to się mówiło, i po prostu aż ja skończę tę szkołę podstawową z drugiej klasy. Oczywiście przyjechaliśmy do... Podstawiony nam był z takich bydlęcych, jak to się mówi, wagon, którym się załadowaliśmy wszyscy i przyjechaliśmy do. Dłuższy czas jechaliśmy, bo to było jeszcze nie tak, jak teraz jest na biegu. Tam się parę dni jechało do Międzyrzecza, ale zatrzymaliśmy się jeszcze w Skwierzynie, gdzie koczowaliśmy prawie dwa miesiące, też. Bo nie były tory jeszcze uruchomione na Międzyrzecz. W międzyczasie, gdy już te tory zrobili kolejarze, wówczas myśmy przejechali już do Międzyrzecza. To były lata też 1946 już. Także po prostu już były nowe zadania szkolne, a przede wszystkim otwarcie szkoły już tu było w Międzyrzeczu, jak myśmy przyjechali. Bo ja wiem, jak to powiedzieć? Jeszcze jeśli co zapamiętam sobie dobrze. To było 1946 rok. Powstanie pierwszej szkoły w Międzyrzeczu i uczęszczanie mnie do trzeciej klasy podstawowej. Wówczas już mniej więcej myśmy się spotykali z różnymi dziećmi, którzy po prostu przyjechali ze Wschodu, transportem. Więc to byli wileńskie, później rzeszowskie. Do rzeszowskich też było dużo, ale lwowskie. Pińskie, czyli Polesie całe, to właściwie byli wszyscy tak zwani repatrianci i ze wschodu na zachód, że osiedlaliśmy te ziemie nasze, które w tej chwili, na których w tej chwili jesteśmy. Człowiek oczywiście był młody, bo był młody, faktycznie chodził do szkoły, ale już tu w Międzyrzeczu, po prostu było dużo. Jak to powiedzieć. W tej chwili dużo było broni, amunicji. Ale myśmy się po prostu spotykali z dziećmi, takimi, którzy przeżywali ten okres wschodni, czyli mordowanie, zabijanie. Katyń. O Katyniu bardzo dużo było mówiono tym dzieciom i te dzieci już dzieciom przekazywali tę całą historię. Kto to byli właściwie? Bo myśmy ich nie znali ze Wschodu. I terroryści, to jeszcze się nie mówiło, że to był terroryzm, ale byli po prostu mordercy i wynarodowienie narodu polskiego, bo oni właśnie. Nas wszystkich mordowali, a jak nie mordowali, to w kleszcze wzięli swoje tak żeby po prostu robić to, co oni chcą. Ci...

Grzegorz Łeszczyński: Okupanci?

Jan Plebanek: Okupanci wszyscy. To zasadniczo myśmy ich nie nazywali okupantami, ale jako wyzwolicieli naszych możliwości, naszych po prostu takich... poglądów. Oczywiście nam jako rodzice wpajali w praktycznie ten patriotyzm narodowy prawdziwego Polaka. I myśmy to przejmowali szybko jako dzieci, ponieważ myśmy się już częściowo wyzwolali z tej niewoli niemieckiej, ale wchodziliśmy w tę drugą niewolę wschodnią. Naszą. Tak że po prostu trudno było sobie wyobrazić inaczej, tylko tak jak myśmy po prostu uważali, że żeby walczyć dalej o swoją niepodległość i niezawisłość naszego kraju, czyli Polski. Związaliśmy się jako dzieci. A dużo przychodziło ze wschodu na wschód, ze wschodu, na zachód, ze strony Armii Krajowej. Dopiero wiedzieliśmy, co to jest Armia Krajowa, że Armia Krajowa była cały czas okupacji i walczyła przeciwko Niemcom we własnym, swoim kraju. Czyli nie było to, jak nieraz mówią wszyscy, że to Armia Krajowa to była londyńska nieprawda. To była nasza narodowa polska armia, która walczyła tu w kraju, a nie na Zachodzie. I tam, w tej naszej armii nie byli tylko Polacy, tam były wszystkie i narodowości, które uciekali od Niemców, a Niemcy mordowali nas wszystkich i palili ciała i niszczyli nasz kraj całkowicie i nasze zaprawy, które myśmy mieli. Wywiązała się właśnie w naszych młodych umysłach powstawanie tzw. normalnie takich patriotycznych powiązań. Jaka była ta Armia Krajowa? Myśmy się dowiadywali od wszystkich pozostałych i podstuchiwalismy rodziców, jak rozmawiają na takie tematy polityczne, a było ich bardzo dużo też. I przejmowaliśmy właśnie pałeczkę od nich jako młodzi. A myśmy byli tą młodzieżą, która bardzo szybko przyjmowała taką, no jak to mówiąc więcej tej patriotycznej rozmowy, ale i po prostu tej walki, bo chcieliśmy właśnie mieć tą naszą Polskę

już od czasów wyzwolenia wolną, która nie była wolna, bo była pod okupacją Wschodu, czyli Ruskich, którzy nas mordowali. Po prostu. W szkołach już a najwięcej ja miałem styczności w szkole w Zielonej Górze, ponieważ tam się uczyłem w szkole Zastalu. To była szkoła przemysłowa. Trochę nam płacili państwowo, te komunistyczne, ale już powstawała tam organizacja niepodległościowa, która miała walczyć i walczyliśmy przeciwko komunizmowi. Stworzyliśmy przysięgę swoją własną. A przysięga nasza brzmiała. Jeszcze ją pamiętam. Jak brzmiała ta przysięga. „Przysięgam skrwawionej ziemi ojczystej, wierze świętej i dowództwu podziemnej organizacji Lwie Gniazdo – bo tak nazywaliśmy swoją organizację – być wiernym tajemnicy. Karnym, posłusznym wykonywaniu wszelkich rozkazów nadawanych mi przez dowództwo. Gotowym zawsze na śmierć i życie dla swej ideowej organizacji i walczyć przeciwko komunizmowi w szeregach organizacji Armii Krajowej i naszej organizacji Lwiego Gniazda, które myśmy stworzyli i tak długo walczyć, aż nie uzyskamy naprawdę prawdziwej wolności. Gdy zdradzę lub ulegnę pod zadanymi mi ciosami, niech moje imię Polaka przeklęty będzie i niech nie zazna spokoju na tej ziemi ojczystej i wśród naszych rodaków. Tak mi dopomóż Bóg i Ty, Królowo Korony Polskiej”. Tak brzmiała nasza przysięga.

Grzegorz Łeszczyński: A proszę powiedzieć organizacja nazywała się Lwie Gniazdo czy Orle Gniazdo?

Jan Plebanek: Lwie. Od lwa. – Bo są też różne głosy, że Orle Gniazdo się zwie Gniazdo. – Mamy swoje książki. Też już są rozpowszechnione wszystkie. Ja byłem jako dowódca. Miałem pod sobą 48 ludzi. To jest po prostu oddział. Był. Skąd myśmy posiadali broń? Broń mieliśmy z bunkrów za darmo. Nikt nam nie potrzebował wydawać czy zdobywać broni, bo broń mieliśmy gotową do strzału. P-39, waltery. Siódemki. Przeważnie myśmy używali broni krótkiej, pistoletów, ale prócz tego myśmy jeszcze brali granaty i kule moździerzowe. Celem naszym było po prostu zrywać czerwone flagi. Malować, bo to było 70-lecie Stalina, malować portrety Stalina, które były wywieszane na czarno. A jak to się działo? Żarówkę się brało. Brało się atrament i wieczorem rzucało się na portrety, które plamy robiły czarne. Duże zamieszanie robiło wśród UB, bo łowczy krążyli za każdym, młodym umysłem, nawet za dzieckiem, który jeszcze wszedł do szkoły od pierwszej klasy. To już krążyli i już się wypytywali co, gdzie, jak i co rodzice mówią i tak dalej. Po prostu wszystko było przygębione tym starym komunizmem. No i jak nas aresztowali w roku 1949 zaczęło się aresztowanie. W grudniu nas aresztowali w 1950 roku, ale myśmy jakoś jeszcze z kolegą zdążyli uciec. Ukrywaliśmy się w bunkrach międzyrzeckich tutaj, które są tu dłuższy czas. No i żeśmy jeszcze wykorzystywali nasze pośrednictwo nauczycielskie, które przybyło właśnie ze Wschodu. Pani Garniewiczowa taka była nauczycielka, która była z Wilna, rodowita wilnianka. Ona nas przechowywała 3 dni i potem mój kolega, też, który właściwie działał w naszej organizacji, poszedł, chciał iść i powiedzieć, żeby rodzice byli spokojni, że my jeszcze żyjemy. Więc poszedł do mnie do domu, bo tu mieszkał. Tu jest Chłodna, bo myśmy byli na Chłodnej, a ja mieszkałem na Kilińskiego, tam gdzie kolejarze, bo to była ulica Kolejowa. I dowiedział się, że rodzice są, i powiedział im, że jesteśmy ukryci. Nie powiedział gdzie, ale pani Garniewiczowa już też była w strachu, bo jakby nie było to już 3 dni byśmy u niej koczowali. We dwójkę. Ja byłem i mój radiotelegrafista był, Dzieła Kazimierz taki był też. Wyszliśmy po prostu z niej, żeby trochę zaczerpnąć powietrza. Mniej więcej na tej samej odległości. Nie spodziewaliśmy się, że po prostu wszędzie jest tak obstawione. A te było obstawione KM Komenda Miasta – opaski. I niektórzy byli w mundurach, a niektórzy byli jeszcze po cywilu, bo jeszcze w tym czasie nie było mundurów takich. Tak że wyszliśmy i słyszymy „Stój, kto idzie?!“ No, to jest tak. Cofnąć się nie szło, bo gdybyśmy się cofnęli, to byśmy zdradzili tę panią nauczyciel-

kę. Więc myśmy wyszli. Ja jeszcze zdążyłem odrzucić pistolet do piwnicy. Bo było okienko u dołu, a to była noc, bo to był grudzień. Natomiast już mój kolega nie zdążył. Tak że go przejęli nawet z bronią ręką. No i „ręce do góry, ręce do góry”. Jak zwykle myśmy podnieśli te rączki do góry. Dzieci. To były jeszcze dzieci. Ja jeszcze nie miałem osiemnastu lat skończone w tym czasie. No i doprowadzili nas w czterech żołnierzy, bo było jeszcze dwóch z tej strony. Doprowadzili nas do pod bronią do UB. A na UB już mówili „Myśmy na was już czekali i wreszcie was mamy”. Wzięli nas do jednego z pokoi swoich – okratowane okna, drzwi też szczelne. Zamknęli nas. I tak żeśmy przybyli i nic po prostu nie jedli. Ale przybyliśmy do rana. Rano przyjechała suka. To był willis taki, jak to kiedyś te willisy były amerykańskie jeszcze mieli Ruskie, bo dostali. I jak to w tym czasie? Aha. Jak od razu nas skuli ręce do tyłu, obuch. Pistolet ten co mój kolega miał włożyli mu do kieszeni nawet, ale nie mogliśmy i tak sięgnąć bo już były ręce skrępowane z tyłu i nas wzięli przez most w Cigacicach, bo to był na Odrze. Wolno jechali, bo ten most był jeszcze taki widać zrobiony, taki prowizoryczny. I dojechaliśmy do Zielonej Góry, nas zawieźli. W Zielonej Górze... „O! Przyjechali bandyci”. No tak, ja spojrzałem na kolegę, a kolega na mnie, ale mówię tak: „No jacy my bandyci jesteśmy. Przecież my jesteśmy Polakami. Po polsku mówimy”. Tylko ja usłyszałem trzask w głowę. Nie wiem nawet czym. Pobiłem się o ścianę i już mnie nie było. Mój kolega tylko sięgnął, sięgnęła jego głowa o moją głowę i padł tak samo. Drugi. Obudziliśmy się w piwnicy. A piwnice to były cele, bo w Zielonej Górze i właśnie tam, gdzie było UB, to za Niemca był bank. Także drzwi były takie holde grube, że te drzwi wziąć, żeby je zamknąć to trzeba było dwóch-trzech ludzi żeby je zamykało. Te drzwi. Pozamykali nas. Siedzieliśmy i czekaliśmy co dalej będzie. Ale było już niedługo było. Słyszeliśmy trzask zamków i kolejno Plebanek, Dzieła, Plebanek, Dzieła. Godzina pierwsza albo druga w nocy na przesłuchy. Tak było. Wyglądało jakby ci, którzy nas przesłuchiwali, UB-owcy byli pijani, bo blisko nas było tak zwany hotel pod Orłem koło UB i zawsze tam chodzili. To był ich specjalny teren. Tam pili, a wieczorem w nocy przychodzili na morderstwa. Więc jak to było pierwszy raz. To było przysiad. Przysiad był pierwszy raz. Ręce do góry. Przysiad. Jak się długo czekało, tak długo, aż nogi zdrętwiały, to podchodzili i kopali nogami do góry, żeby się podbiegli. Wreszcie już się skończyło. Tak jakby, nie wiem ile to trwało, bo myśmy nie liczyli. Zegarków nie mieliśmy na rękach, ale parę godzin trwało. Taka gimnastyka. I potem nas wzięli z powrotem, zaprowadzili do piwnicy, zamknęli. Na drugi dzień to samo, ale już było gorzej, bo już kazali zdejmować ubranie. Stołek do góry nogami i gołym tyłkiem usiąść nawet na stół. A jak się powoli siadało, to przyszedł za kark i wciskał po prostu do tyłka wchodziła ta noga cała. Mało to później było. „I gdzie? Gdzie reszta kolegów? Gdzie reszta jest tych, którzy nas nienawidzą?” Ja mówię: „Ja nic nie wiem, absolutnie”. Bo myśmy się po prostu nie przyznawali do tego czynu o który nas mordowano. Potem trzeci dzień. I tu już nie pamiętam, ale. Klamra, paski na rękach, ręce usztywnione, nogi też tak samo skrępowane były i między palce ołówki kładli i ściskali. Owszem, to był ból niesamowity. Ktoś no to tak powiedzieć, to jest po prostu jakby nie było, człowiek myślał, że to jest bajka z opowiadania, ale trzeba było to zobaczyć i samemu się przekonać, jaki to jest ból. Bo tego bólu po prostu nie da się tak opisać, że to tak strasznie był ból tego wszystkiego. To były te. To powtarzało się kilkakrotnie razy tak, że palce trzeszczały. Niby nie łamali palców, potem już przy końcu, a cała taka po prostu ta. No to całe przesłuchanie trwały miesiące. To nie były, bo jak się zaczęły w styczniu, to dopiero rozprawa była w październiku. Na tym cała. Także tu były ciężkie, ciężkie chwile. Trudno w tej chwili opisać to wszystko, co ja tylko tak wyszczególniam te najgorsze sytuacje, które były na UB. Jeszcze jedna taka, która mnie spotka. To ja tylko opisuję swoje spostrzeżenia i swoje i wszystkie te morderstwa. Był taki drzązek w narożniku. W ścianie wmontowany i drzązek był gruba, taka rura żelazna, ręce skrępowane do tyłu i wsadzali normalnie do góry brali, bo człowiek się nie mógł podnieść i sadzali na ten drzązek. Tak że człowiek tak tego. I się pytali znowuż „Ilu was było? Co, gdzie wyście urzę-

dowali? Co wyście robili, Kto was do tego zmusił?" I różne takie sprawy po prostu, które cały czas się powtarzały. A przy tym właśnie te morderstwa były, bo tak się dobrze siedziało z początku. Ale potem zaczęło się robić w uszach szum. Taki zamęt i czekali, że pójdzie krew albo nosem, albo uszami wychodziła. No mnie jakoś holender nie pamiętam, ale chyba uszami wyszła z jednego ucha w pierw i potem z drugiego. Ale później już nic nie pamiętam. Wiem tylko, że jak byłem w celi tej, co siedziałem i polewany wodą byłem, cały mokry. No to to tylko mogę, tak. I to się powtarzało kilkakrotnie razy, tak, że po prostu człowiek już był wyczerpany całkowicie i myślał, żeby się albo zabić, albo powiesić, choć tam nie było możliwości, bo w każdej celi siedziało nas po pięciu, po sześciu na tym podium, w tych piwnicach, tak, że po prostu. Do sprawy całej morderstwa i morderstwa powtarzały się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Drobnych dużo było takich, że po piętach bili, kazali zdejmować skarpety, buty i po piętach taką gumą bili. I też to tak człowieka drgało na tym. Siedział na piętach i w którymś to już nie pamiętam. Ale przy końcu śledztwa całego przed rozprawą mówi, że ten śledczy mój: „Ja ci jaja ustrzelę”. Rozebrał mnie do naga. Posadził na krześle. I mówi: „Mów”. Wyjął pistolet, te tetetki swoje, co mieli. I mówi: „Mów, bo cię zabiję”. Ja mówię: „Więcej już nic. Już to wszystko, co było, to powiedziałem. Nie wiem nic więcej”. Po prostu mówię, że lepiej się zabić, jak kogoś wydać. I na moim zostało po prostu, że tylko moich kolegów siedziało tych paru, co oni wydali mnie. Ale ja nikogo nie wydałem i do nich mam czyste sumienie, że to, co się przysięgało, to zostało we krwi i w pamięci mojej wszystko. Sprawa, jak to sprawa. No, prokurator przyszedł, podpisaliśmy tamte zobowiązanie. Taka gruba księga, bo nas było piętnastu, a przecież myśmy różnie interpretowali swoje zamierzenia i nie podawaliśmy, że dostaliśmy pistolety i że mieliśmy wszyscy pistolety, skąd te pistolety były i tak dalej, to się oni tego nie dowiadywali. Wiedzieli, że z bunkrów, a bunkry wszędzie były w Międzyrzeczu rozpowszechnione, a w każdym bunkrze było pełno amunicji i broni tak, że było łatwe do zdobycia.

Grzegorz Łuszczynski: Panie Janie proszę powiedzieć, czy prowadziliście jakąś działalność z bronią?

Jan Plebanek: Działalność nasza to było tak: zrywanie czerwonych flag, malowanie portretów Stalina w 70-lecie i wysadzenie pomnika wdzięczności na ulicy Stalina w Zielonej Górze. A te skrzynie łukowe, te granatniki myśmy przywozili z bunkrów, bo tam było gotowe wszystko. Tak że myśmy przywozili w teczkach jako uczniowie szkolni.

Grzegorz Łuszczynski: Czyli tej broni palnej w akcji de facto nie używaliście nigdzie?

Jan Plebanek: Na razie nie używało się.

Grzegorz Łuszczynski: Do czasu aresztowania. Jakież ćwiczenia prowadziliście z użyciem broni?

Jan Plebanek: Myśmy mieli po prostu założenie konspiracyjne jako to tak samo jakby wyobrazić sobie kiedyś jak była milicja i ORMÓ, to myśmy tak byli. Myśmy byli AK, pomocą AK. Myśmy byli, bo musieli wiedzieć i informować gdzie stają np. te jednostki ruskie, gdzie stacjonują i tak dalej. To było wszystko podawane, żeby w razie czegoś wiedzieli, gdzie, jaka siła rosyjska jest na ziemi naszej.

Grzegorz Łuszczynski: Czyli taką działalność wywiadowczą prowadziliście też?

Jan Plebanek: Tak. No po prostu tak jak nas nazywali szpiegami. No, szpiedzy, to żeby wszystko po prostu nawiązywać do spraw tych, które należą do organizacji. To wszystko myśmy robili. No, dużo się nie robiło, bo mało było czasu na wszystko, bo to tak szybko później poszło to aresztowanie. Bo aresztowali wtenczas wszystkich generałów: Tatarą, Utnika, Moczara i Spychalskiego wtenczas jeszcze też aresztowali. Naszego biskupa Wyszyńskiego. Myśmy przynosili meldunki w rybach, zaszyte jako, że rybacy za dużo ryb sprzedali nam i te ryby myśmy im tym rybakom odnosili z powrotem.

Jan Plebanek: To jeszcze w czasie okupacji niemieckiej?

Grzegorz Łeszczyński: Okupacji niemieckiej tak to było. Ja miałem wtenczas ile – dziewięć lat, a siostra miała osiem lat, bo ja się ze siostrą razem. I takich dzieci Niemcy nie zaczepiali specjalnie, a myśmy z Ciechocinka przynosili do Nieszawy, bo zaraz za Ciechocinkiem była Nieszawa, i myśmy szli nad Wisłą. I tam rybacy mieszkali takie swoje mieli domki i im myśmy to oddawali. A oni wiedzieli, że my przyniesiemy, bo ojciec im dał nasze zdjęcia, bo robił. Wiedzieli, że ich dzieci będą przychodzić. Ale myśmy tylko byli dwa czy trzy razy, już nie pamiętam dokładnie na tym. I potem już było koniec wojny. Teraz tak, jak myśmy już na UB. Jak nas po prostu osądzili. Dopominał się ten najwyższy wyrok kary dla mnie jako dowódcy, ale nie mogli mi dać kary śmierci, bo byłem niepełnoletni. Na UB skończyłem 18 lat.

Grzegorz Łeszczyński: To był rok 1950.

Jan Plebanek: Tak. Ale dostałem najwyższy wyrok 10 lat. Ale apelacja zabiła rok. Dziewięć lat miałem ogólnie z tego przesiedziałem od aresztowania do 1955 roku. Tak że tu i teraz, jak wyszedłem po wyzwoleniu nie wolno mi było się uczyć, nie wolno mi było podejmować żadnej pracy i nie wolno mnie było przyjmować nawet, żeby przyjąć mnie do jakiejś pracy. Tak że ciężkie były te chwile kawalerki, jak to się mówi z żoną, żoną, to w tej chwili myśmy się znali, bo myśmy chodzili w Międzyrzeczu. Tak, w Międzyrzeczu do trzeciej klasy razem podstawówki. Tak że myśmy się znali. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że ona będzie moją żoną na tym.

Grzegorz Łeszczyński: A proszę powiedzieć jeszcze o tym pobycie w więzieniu, bo pan odbywał karę w Zielonej Górze, w więzieniu, tak?

Jan Plebanek: Tak. Ale w Zielonej Górze myśmy byli tylko do połowy roku chyba. Byliśmy chyba 2 czy 3 miesiące i potem nas wywieźli do Strzelec Opolskich. Strzelce Opolskie i tam część tych moich co mieli po 16 po 17 lat, zatrudnili w kamieniołomach i w wapiennikach, w tym – w Jaworznie, bo Jaworzno to było więzienie progresywne. Mnie z początku zabrali też do Jaworzna, ale szybko mnie z powrotem do Strzelec Opolskich zabrali jako dowódcy. Także odseparowali mnie od moich kolegów. Kolegom jeszcze przypominałem, jak się żegnali. „Pamiętajcie o swojej rzeczywistości, która nas otacza i którą musimy spełnić”. To im powiedziałem wszystkim i to chyba na łożu śmierci pamiętają, bo już ich nie ma. Ja zostałem sam. Niestety, ci, którzy siedzieli. A najniższy wyrok to był 2 lata. A tak wszystko 8–7 lat. Ja dostałem 9 lat najwyższy wyrok jako dowódca. No i później po tym wszystkim nie wiedziałem jak swoje życie pokierować.

Grzegorz Łeszczyński: Jak Pan by opisał warunki jakie panowały w tym więzieniu w Strzelcach Opolskich?

Jan Plebanek: Warunki były bardzo ciężkie. Były po prostu... Myśmy tam pracowali później, bo otworzyli mechaniczną wytwórnię obuwia. Na mechanicznej wytwórni obuwia myśmy pracowali wszyscy 8 godzin. To były 3 zmiany. Ale jak się wychodziło np. do tej pracy, a było niedaleko zaraz, bo to było wszystko w więzieniu, za murami, to karcery były pokrwawione, miski pełne krwi, pobryzgane. Jeszcze niektóre były posadzka, ale od krwi. Tak że wystarczyło spojrzeć na to wszystko to człowieka dreszcze przechodziły już. Ale po prostu z dnia na dzień człowiek się przyzwyczajał do tej rzeczywistości, jaka tam panowała w tym więzieniu. No bo to więzienie było morderców. Był taki Mizia, Ostaszewski. To byli dowódcy, nie dowódcy, ale byli naczelnicy więzienia. Mizia, Ostaszewski i Karcz jakiś też był taki. No nie wiem, nie znaleźliśmy ich, bo niby to oni zostali później osądzeni, że mordowali więźniów, ale w jakim stosunku i w jaki sposób? No nie wiadomo, bo to nikt nie wiedział tego. A to tyle lat trwało to wszystko. Troszkę się poluzowało w tym kryminale, w Strzelcach Opolskich jak zmarł Stalin, było trochę rozluźnienia. Dali nie kaszę, na kaszę i kartofle, tylko już taka była mieszanka, już trochę zupy było. Tak, że już, już troszeczkę się zaczęło zmieniać, ale pozostał rygor i terror ten sam co był. No niestety. Tak że wszystko. Wszystko pozostawało pod systemem komunizmu, jak to się mówi. Nie wiem, jak to się stało, że myśmy siedzieli z dowódcami z Armii Krajowej i oni nas właśnie nam więcej jeszcze wpajali, jak myśmy wiedzieli to wszystko. Tak że jak myśmy wychodzili z więzienia, to ja potrafiłem cały pułk zorganizować bez żadnego, bez żadnej pomocy, bo już wiedziałem, jak to się wszystko robi raz. A druga rzecz, że człowiek był już, jak to się mówi, starszy, mądrzejszy i wszystko lepiej to przyjmowało się. I był zahartowany, w tym przeciwko komunizmowi więcej jeszcze jak to było warto dalej wtedy. Tam się to wszystko po prostu, no.

Grzegorz Łeszczyński: A pamięta pan może jakieś nazwiska osób, które poznał pan? Nie wiem, czy zwracaliście się raczej po imieniu pseudonimami do siebie?

Jan Plebanek: Myśmy pseudonimy mieli, ale takiego pamiętam Lasonia, Gołdę Wacka. Gołda Wacek to był mój poplecznik i mój kolega, pomocnik organizacji niepodległościowej w więzieniu. Bo myśmy, mimo że często, jak myśmy robili, ale myśmy mieli ulotki, myśmy mieli i ja miałem jako dowódca tej grupy pieczętkę okrągłą z orłem. To, co myśmy wiedzieli, to tak samo jakbyśmy byli na wolności, bo myśmy mieli zahartowanych w tym boju klawiszy, którzy nas pilnowali tam. Byli nie wszyscy, ale było dużo właśnie, którzy nam pomagali i po prostu zdradzali i przejmowali to wszystko, co nam było potrzeba do zapisania. A druki były już tak ściśle, że no nie wyobrażam sobie, żeby to wszystko opisać, co się tam działo w tym okresie terroru. No i coś niesamowitego. To wszystko co tu nieraz widzę w telewizji, to jest wszystko bajka. To co się robiło naprawdę tam. Jak Polacy mogli? I jak my dzieci, mogliśmy to wszystko znosić i przeobrażać w sobie tę nienawiść taką? Przecież wyobraźcie sobie panowie, że taka nienawiść jest. Jak mnie wypuszczali z kryminatu, to mi mówiono „Uważaj, bo specjalnie cię wypuszczają, żeby cię zabić”, bo prawdopodobnie strzelali z wieżek do tych, którzy wychodzili polityczni. I ja się bałem i czekałem, aż przyjdzie jakiś klawisz, będzie szedł w mundurze, żeby z nim iść i odejść z tego więzienia. I tak się stało, że on mówi „Chodź, chodź, bo ty się chyba boisz, Chodź ze mną, ja cię doprowadzę do stacji, gdzie pojedziesz sobie do domu”. Tak się stało. Zabrał mnie na stację. Jeszcze mi bilet wykupił ten klawisz i przyjechałem do Międzyrzecza. W Międzyrzeczu

jak zobaczyłem to nasze miasto po tylu latach, to mi się zdawało zapadliskiem. Domy takie malutkie, wieża ciśnień taka niska. Ale jeszcze jedna rzecz główna, która była jak wychodziłem z bramy. Dzieci jechały na kolonię – młodzież i dzieci z czwartej, piątej klasy, co mnie zraziło, bo ta mowa i ten pisk to nie, to nie była mowa. A jakby się zdawało, jakby wróble piszczały na drzewach, bo człowiek tej mowy, tej takiej nie słyszał tyle lat i po prostu było wyobrażenie, że idzie i słyszy moc zwierząt, piskląt jak piszczy pik, pik, pik, pik. To jak dzieci mówiły. Takie wyobrażenie człowiek miał po tym, po tych latach. I to właśnie. A gdy przyjechałem, no już, może teraz do Międzyrzecza, to zobaczyłem ten blok, gdzie miałem, gdzie ojciec i matka mieszkali w tym bloku kolejowym na Kilińskiego. Jak wysiadłem. Z pociągu jakieś dzieci się pętały z kwiatami. A myślałem, że..., Ono mówią: „Jasiu”. Obejrzałem się. Nie znam tych dzieci. „To dla pana te kwiaty”. I kurcze, ja mówię „A skąd wy wiecie, że to dla mnie?” „No bo tak ze szkoły przysłano”. No i wziąłem te kwiaty, maki takie i chabry. I tak sobie pomyślałem „Holender, to już dzieci są przygotowani do dalszej walki też. I trzeba to wziąć w swoje ręce i już”. Jak wysiadałem z wagonu miałem to na myśli od razu. Holender. Podziękowałem. One poleciały szybko do domu. Do szkoły przeproszam, bo szkoła była za łką, za łką szkoła. Poszedłem do domu tą aleją przez most kolejowy przechodziłem. Wszystko mi się przypominało, jak się chodziło kiedyś do szkoły. Ale teraz uważam, że to była godzina szósta rano. Czy rodzice żyją? Wszedłem w ten korytarz. I patrzę, no są te drzwi, jest ten dzwonek. Jeszcze wszystko przekręciłem, załopotało. „Kto jest?”, a ja mówię „No ja jestem”. – „Co za ja?” – „Janek”. „Jaki Janek? Janek w więzieniu”. Ojciec się odezwał. Ja mówię: „To ja jestem. Ojciec, mówię, otwórz”. „Jezus”. Ojciec wziął się przeżegnał „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Jezus kochany, skąd żeś ty się wziął?” – on mówi tak. I już otworzył drzwi i padł mi do nóg. Od razu babcie się obudziły. Jedna mnie po rękach całuje, druga mnie nogi całuje. No nie widziałem, co się dzieje. Strasznie. To było spotkanie po tylu latach, ale dawało otuchy do dalszej walki i wierzyłem w to, że zwyciężymy. Długi czas nie byłem. Już położyłem się. Dali mi, żebym się położył, ale tak trzask drzwi, człowiek stawał na baczność, bo tego cały czas nauczony był na tym. Tak, że po prostu było strasznie, straszne to było te spotkanie z wolnością, prawdziwą wolnością, taką rodzinną wolnością, bo to była rodzinna wolność na razie, bo komuna dalej trwała przecież tyle lat. Przez 40 lat. Tak że po tym wszystkim już jakoś dochodziłem, dochodziłem powoli do siebie. Wciąż koledzy, którzy już chodzili ze mną do szkoły, byli starsi, zaciągnęli mnie też na kolej, bo tylko mogłem iść i mogłem z nimi pośpiewać. Do chóru mnie zapisali, chodziłem do chóru. Wtenczas już na tym. Także.

Grzegorz Łeszczyński: To był rok 1955, tak? Kiedy pan wyszedł.

Jan Plebanek: Tak. No i z żoną już żona chodziła do chóru. Już z żoną więcej obcowałem też. Obecną. Myśmy się w sobie niby to zakochali, niby nie. No jak to tak było? Ale z biegiem czasu żeśmy się postanowili pobrać jak trochę jeszcze odżyjemy. Z tym, że jeszcze ja musiałem pracę gdzieś znaleźć. No i był taki właśnie Sobczak imieniem, nie nazwisko jego Sobczak, był z działki kolejowej oddziału, był robót budowlanych, poobijanie podkładów. No i przyjął mnie jako robotnika, no i dał mi uposażenie. Mniej więcej dostałem parę groszy, że mogłem sobie pozwolić na założenie powoli takiej małej rodzinki. Ale to wszystko trwało krótko, bo nawet nie rok. I przyszło mi. Pismo natychmiast do wojska się zgłosić. Poszedłem na WKR. Przyjechała ekipa nas 15 takich było i do kopalni znowuż na rok, dwa lata I zabrali nas do kopalni, do Zabrze. W Zabrzu myśmy mieli przysięgę też, ale przysięga to nie była przysięga taka prawdziwa przysięga, tylko przysięga komunistyczna. Wtedy nawet się mało kto odezwał, żeby ją zdawał. Zdawał jedną przysięgę wystarczało na wolność swojej ojczyzny. Ale no niestety, musiał każdy. No i po przysiędze w Zabrzu

zabrano nas do Bytomia. Wywieźli samochodami. Tam były baraki, no baraki. Jednostka wojskowa była, przywitała nas orkiestrą. W tej jednostce wojskowej wszyscy byli ci, którzy siedzieli na czele z dowódcą jednostki, pułkownikiem. Też, który był z Armii Krajowej. I to wszystko jeden drugiego rozumiał. I tak żeśmy lawirowali, żeby wszystko się układało jako tako. Ale nas pojechało piętnastu do tych kopalni, bo to była kopalnia Rozbark w Bytomiu, to nas wróciło trzech tylko. Ja jako łązienny, a łąziennego dostałem dlatego, że grałem w orkiestrze. Ja miałem powierzchnię i dlatego się utrzymałem na tym. Jak przyszła później ta – pierwsze wyzwolenie Nie wyzwolenie. A pierwsza taka draka z komunistami w Poznaniu. To akurat ja miałem przeszło rok już wojska w Bytomiu. Potem jakiś czas rozwiązywali powoli, jak przyszedł Spychalski. Tak było jak Spychalski przyszedł, był dowódcą armii całej Polski, zaczął rozwiązywać te pułki wszystkie te WKP Wojskowe Korpusy Górnicze.

Grzegorz Łuszczynski: Październik 1956?

Jan Plebanek: Tak. I potem już jak wyszedłem, to już miałem zajęcie na kolei, bo dostałem tę wyprawkę, ale jako w tej samej branży podbijania podkładów. Ale w międzyczasie już uczyłem się trochę grać na akordeonie, bo myślałem sobie tak: „pójdę w jakiś inny dział, to tego mogę nie sprostać”, ale dział muzyczny mogę sprostać, bo muzyka, jak to się mówiło, nie zna granic. Faktycznie nie zna granic. Co się zrobi, to się zrobi dla tej muzyki. Po prostu byłem kilkakrotnie wzywany, a wzywany byłem dużo razy na UB, bo kontrolowali. Kontrola była prawie co dzień, co miesiąc, co dzień nie, ale co miesiąc wtenczas.

Grzegorz Łuszczynski: A to już po zakończeniu tej służby wojskowej obowiązkowej tak?

Jan Plebanek: Tak.

Grzegorz Łuszczynski: Ona trwała dwa lata. Rozumiem. Ta służba czy ile czasu?

Jan Plebanek: Dwa lata w Bytomiu. Do wojska i potem już wyjście z tego i jako cywil nie. Jako rezerwa, tak jak. Z kopalni.

Grzegorz Łuszczynski: To pan łączy z tą swoją, rozumiem wcześniejszą działalnością, że jakby skierowano pana tam do tej kopalni?

Jan Plebanek: Tak, oni po prostu nam tak płacili w tej kopalni symbolicznie. No, robić żołąd taki był tylko. I doszedłem do szkół. Musiałem skończyć psychologię, pedagogikę, a to mogłem jedynie na Limie w Łodzi kończyć. A Łódź z Międzyrzeczem jest daleka. Ale zawsze jak były wakacje, to po prostu dwa miesiące poświęcałem na ćwiczenia i na grę w Łodzi, ale przeważnie Łódź organizowała w Gdańsku. I w Gdańsku właśnie jeździliśmy. Ja jeździłem i tam jeszcze paru takich jak ja było kolegów i żeśmy właśnie tam kończyli zaocznie wszystko robili. Tak że myśmy się kształcili tam. Ale już jak my przyjeżdżali, to już dla nas było łatwiej, bo mogliśmy już uczyć. Nauczać muzyki na tym. Także na akordeonie. Ja przeważnie brałem instrument akordeon, instrumenty klawiszowe, organy, pianino i gitarę nawet później już też. Ale to później był czas. I tak, że człowiek po prostu do tych chwil dotarł, mimo że się ocierał cały czas, jak

na przykład się. Uczył, uczono. A ja miałem taką smykałkę, że lubiłem zespoły, organizowałem zespoły muzyczne. Dwadzieścia, trzydzieści akordeonów i takie różne zespoły wokalne. Cieszyłem się tym, że lubiłem to raz. Druga rzecz, że mi to wychodziło najlepiej wszystko. I tak, że po prostu cały czas zacząłem uczyć. Przyszły troszeczkę rozluźnienia, inne. Przyszedł okrągły stół, ale okrągły stół to było jeszcze, jeszcze za bardzo, bardzo, bardzo daleko, żeby po prostu wyjść. I przy okrągłym stole ja już poszedłem prawie na emeryturę, bo Okrągły Stół dawał mi już zejście na emeryturze na tym. Tak, że po prostu już było troszeczkę mi lżej. Ale jednak człowiek myślał o tej prawdziwej wolności. Ale prócz tego w szkołach ja pozbawiony zostałem tych szkół i poszedłem na już nie na urlop, ale na emeryturę. To już po prostu było lżej nam wszystkim. Już córki dorastały prawie niektórzy już niektóre pokończyły szkoły. Jak to się mówi. No jakie były te szkoły, takie były, ale pokończyli. W tym systemie jeszcze komunistycznym. Ja uczyłem później już od pierwszych do ósmych klas wychowania muzycznego. Łatwo mnie było to uczyć, ponieważ miałem psychologię, zrobioną pedagogikę i to wszystko kosztowało wysiłku i samopoczucia, samozaparca, wszystkiego. Ale jakoś sobie dożyłem, tak jak widzimy, do tych lat, które w tej chwili żyję. I tak moje życie się w tej chwili przez cały czas układa. A nawet jeszcze teraz, w tej chwili prowadzę zespół seniorów, którzy już są starsi, po osiemdziesiątce, niektórzy. Uczę śpiewu, chór prowadzę jeszcze w tym czasie. I tak człowiek dotrwał to wszystko. I tak sobie myślę, że człowiek zrobił wszystko to, co najgorsze jest na tej ziemi, która nas niesie i która nas prowadzi na tej ziemi polskiej.

Grzegorz Łeszczyński: A Panie Janie, proszę powiedzieć, czy pan miał jakiś pseudonim w organizacji?

Jan Plebanek: „Orzeł”. – Orzeł. – Orzeł, Orzeł. – Stąd może ta nazwa, czasami pojawiająca, że Orle Gniazdo. A nie Lwie, od pana pseudonimu. – Lwie Gniazdo po prostu wszyscy przegłosowali jednomyślnie. Bo to Orle Gniazdo, czyli Lwie Gniazdo, to nie było od razu Armia Krajowa. To było po prostu zaplecze, tak samo jak milicja i ORMÓ. Tak samo coś w tym rodzaju. Spotkaliśmy się pierwszy raz po takim uwolnieniu. To już po Solidarności, bo już Solidarność była. W tym czasie. Tak, byli w Solidarności wszyscy i tak dalej. No i na tym ta Solidarność powstała. Jak ona powstawała, tak powstawała, ale była i jest. Nie trzeba mówić, że jej nie ma, ale jest. I wierzymy w to, że ta Solidarność będzie dalej jeszcze niestety w naszych układach, takich, jakie w tej chwili piastujemy. A układ to jest tak.

Grzegorz Łeszczyński: Ale wracając do lat 80-tych i do tych spotkań pana z kolegami.

Jan Plebanek: Więc pierwsze spotkanie ja miałem u siebie tutaj w Międzyrzeczu, wszystkich kolegów, którzy żyli już dwóch, Zamojski już nie żył w tym czasie. I Zamojski nie żył. Potem kto jeszcze nie żył, jeszcze ktoś nie żył. Tak, że trzech już odeszło do wieczności.

Grzegorz Łeszczyński: Ale rozumiem, że w czasach, kiedy działała organizacja, wszyscy byliście w podobnym wieku kilkunastu lat?

Jan Plebanek: Myśmy przypominali sobie, przypominaliśmy tę swoją przysięgę, którą myśmy złożyli wszyscy razem, no, niedużo, ale kilku, chyba pięciu, co pamiętało przysięgę, ale to już wszystko, to już pozapominało, ale przypominaliśmy im. I z biegiem czasu, bo te nasze spotkanie pierwsze, to było trzy dni. Tu u mnie wszyscy spali i też na tym

pierwszym spotkaniu. Pierwsze spotkanie, które było tak, że... Później, jak żeśmy się rozjeżdżali, myśmy sobie ustalili, że drugie nasze spotkanie będzie we Wrocławiu. Było drugie spotkanie. Trzecie spotkanie myśmy mieli w Ciborzu, ale z roku na rok nas ubywało. No niestety. To jeden nerki miał odbite, jeden miał płuca. Tak że po prostu, skazy więzień to wszystko pozostało i się dało we znaki w starszym wieku naszym wszystkim. Także poodchodzili. I ostatni mój kolega, chyba Warzyński Jurek. W Bytomiu on pozostał. Był też w kopalni, ale pozostał właśnie w Bytomiu, bo tam się ożenił. I zmarł teraz też. I mnie pozostało samemu jeszcze marudzić i przekonywać wszystkich. To co było, to co się robiło i to co się przypomina teraz jeszcze, że tak było kiedyś i tak mordowali naszych braci nasi bracia, bo tak samo Polacy byli. Raz, ale. Można by było tak powiedzieć, ale pod naszymi mundurami były i ruskie mundury też. Spotykali, a zwłaszcza na UB i „job twoja mać”. „Taki owaki” po rusku. A my mówimy „dlaczego pan tak po rusku zakręca?” – „Bo ja jestem ze wschodu”. Tłumaczenie ale ze wschodu to jest ja jestem ze wschodu i łups w twarz.

Grzegorz Łuszczynski: A proszę przypomnieć jeszcze ilu było wszystkich was w organizacji pana kolegów?

Jan Plebanek: U mnie trudno mi w tej chwili powiedzieć. Ja miałem 48, chyba.

Grzegorz Łuszczynski: 48.

Jan Plebanek: Tak. Jeden oddział duży. Szkolenia z kolei były wieczorowe w lesie.

Grzegorz Łuszczynski: A jakby Pan mógł coś jeszcze powiedzieć o tych szkoleniach? Jak one wyglądały?

Jan Plebanek: No szkolenia to było przede wszystkim jeden drugiemu przekazywał, gdzie stoją grupy ruskie. Gdzie wojsko ruskie stoi. No bo musieliśmy to wszystko później organizować, przekazywać komuś to wszystko.

Grzegorz Łuszczynski: To wszystko ustnie się odbywało?

Jan Plebanek: Wszystko ustnie. Do południa myśmy chodzili do szkoły, a po obiedzie, wieczorami do lasu się szło. A jeszcze ja to musiałem uciekać bo się bałem ojca, bo wpiernicz raz dostałem od ojca. Tu się bałem. Jak ojciec poszedł spać, ja o 12 przez okno wyskakiwałem, bo na parterze mieszkaliśmy i szedłem do lasu też. Ale to są takie śmieszne scenki, ale takie były. No niestety.

Grzegorz Łuszczynski: A czy jakieś szkolenia z bronią też się odbywały?

Jan Plebanek: Tak. Szkolenia z bronią to myśmy przeważnie brali w niedzielę albo w sobotę, ale przeważnie w niedzielę, bo sobót w tym czasie wolnych nie było jeszcze. Jeszcze nie było sobót wolnych. Prace szkolne były, tylko to właśnie to były te wojskowe, te szkolenie, strzelanie to były w bunkrach tam jeszcze. Ja już nie mogę iść, bo ja bym was poprowadził w te bunkry tam, gdzie myśmy strzelali. Tam już tynki są postrzelane od naszych jeszcze strzelań. –

Czyli w tych bunkrach rozumiem normalnie też strzelaliście, normalnie ćwiczyliście.

Jan Plebanek: Tak, myśmy strzelali, bo to taki korytarz miał 200–300 metrów długości. I obok były punkty sanitarne, wojskowe. Później takie były te łózka, co Niemcy spalili na tym. Także to wszystko jeszcze jest, jeszcze jest teraz. Tam wszystko jest. Bo ja wszystkich to w bunkrach poprowadziłem, bo to wszystko człowiek musi widzieć to o tu, tu było to, to było to, tu się strzelało, tu się stało. Tu się po prostu układało. Tak się strzelało stojąc czy się strzelało, klęcząc czy strzelało z innych pozycji i to wszystko się w bunkrach pokazywało. I to było aktywnie wszystko robione.

Grzegorz Łeszczyński: Pan był głównym twórcą. Pan wpadł na pomysł stworzenia tej organizacji. Czy wspólnie z kimś jakoś Pan konsultował, skąd ta nazwa?

Jan Plebanek: To myśmy się zjednoczyli. W tej średniej szkole w Zielonej Górze i to była nasza już główna forma, żeby całkowicie przejść władzę nad komuną. I tak samo jest „Imiona nasze, krew i nasze blizny. My, ludzie leśni, mała garstka nas, śpiewa noc w oparach leśnych bagien. To śpiewa noc radosny tętent żył, pójdź do mnie, daj swe usta ma dziewczyno, za taki dar dla ciebie będę żył”. A ostatnia zwrotka jest „[niezrozumiałe] złe. Na drugi dzień wśród boju, świszczących kul, łamanej broni szczęk rozbili nas, ujęli mnie wśród boju i lasów szum zmienił w kajdan brzęk”.